



# Zwierciadło wieku cieleącego

Joanna Olech

## Andersen nie tylko dla dzieci

JOANNA OLECH

„Oto ta opowieść, a kto jej nie rozumie, może sobie kupić akcje garbarni”  
Hans Christian Andersen,  
„Serdeczny żal”

Pięćdziesiąt osiem złotych za kilo – tyle kosztuje Andersen w nowym przekładzie. W cenie duńskiego lososia, a o ileż dłuższy okres przydatności do spożycia! Towar wysokiej jakości, w trzech luksusowych tomach, każdy gruby jak książka telefoniczna.

Od kanonicznego tłumaczenia baśni i opowieści Andersena autorstwa Stefani Beylin minęło już 75 lat. Literacka klasa tego przekładu onieśmiała translatorów – nie było śmiazków gotowych podjąć wyzwanie. Bogusława Sochańska do strachliwych nie należy, toteż za poduszczeniem dyrektora Biblioteki Narodowej i aprobatą wydawnictwa Media Rodzina dokonała pierwszego przekładu wprost z języka duńskiego – inaczej, niż to bywało dotąd, kiedy Andersena tłumaczono z wydań niemieckich. W ślad za ubiegłoroczną, jubileuszową edycją dwudziestu dziewięciu najśłynniejszych „Baśni”, ukazały się trzy „cegiły” Andersenowskie – sto sześćdziesiąt cztery utwory opatrzone obszernymi przypisami. Niektóre po raz pierwszy udostępniono czytelnikowi polskiemu.

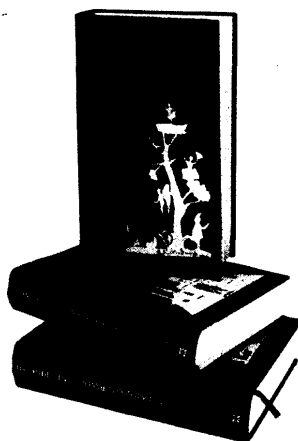
Arcyciekawy esej tłumaczki, dodany do zbioru, odsłania dylematy translatorskie i żmudny trud wyciągania Andersena z „pokoju dzieciennego”, do którego zaginiono go w minionym stuleciu. Pisarz, na przełomie wieku XIX i XX nonszalancko cenzurowany i przykrawany do ówczesnych standardów dydaktycznych, mógł uchodzić za grzecznego moralistę, sentymentalnego wujaszka piszącego piórem maczanym w mleku. Andersen otoczony czeladką pacholarzy – oto jakim chcieli widzieć go tłumacze, „poprawiający” Duńczyka w poczuciu pedagogicznej misji. Ekscentrycznego i na wskroś oryginalnego Hansa Christiana poddawano czasem wręcz translatorskiej kastracji: biedak tracił poczucie humoru, gubił paradoksalne puenty, wyzywał się sarkazmu i ekspresji, czyli tego wszystkiego, co stanowi o jego literackiej klasie.

Nowy przekład dostarcza nam materiałów do porównań, a co za tym idzie –



Jedna z wycinanek Andersena

wielu dowodów nadużyć, które zafalszowały wizerunek Duńczyka. Andersen w istocie od moralizowania stronił, a do dzieci miał stosunek ambiwalentny i wzbraniał się przed etykietą pisarza dla najmłodszych. O ile lektura popularnego wyboru „Baśni” utrwała obraz Andersena – poczciwego gawędziarza, o tyle nowe, kompletne wydanie jego utworów ten wizerunek mać i komplikuje. Znajdziemy tu teksty cierpkie lub okrutne, symboliczne, z erotycznym podtekstem. Oryginalna interpunkcja, przywrócona w nowym tłumaczeniu, jest nietypowa – Andersen pisze niepowstrzymanym strumieniem, bez kropek i akapitów, hojnie szermu-



jąc średnikami. Język niezwykle prosty, dosadny i obrazowy – niewiele pustej gładzby, za to spiętrzenie rekwizytów i detali przemawiających do wyobraźni. Świetne dialogi, ironia i wyrafinowany dowcip. Obok baśni są tu fabuły ani trochę nie „dziecięce”, od których ciarki chodzą po plecach.

Te z górą 1600 stron, czytanych ciurkiem, odsłania obsesje i natręctwa pisarza, stanowi zapis osobliwej autoterapii słowem. Parias dopuszczony do socjety ciągle od nowa leczy swoje kompleksy, przerabiając poczucie krzywdy na literaturę. Czytając – widzę neurotycznego spryciarza, który uwiódł mozną publiczność, portretując jej przywry w maskaradowym kostiumie baśni. Bez feerycznego sztafażu nie uszłyby mu na sucho inteligentne szpile wbijane wysoko urodzonym chlebobdawcom. On sam przybiera kilka ulubionych masek – bywa studentem lub ojcem chrzestnym (fantazja przeciwstawiona tępemu pragmatyzmowi), ale i stokrotką, słowikiem, różą – niezrozumianym geniuszem otoczonym przez filistrów.

O Andersenie pisano, że jego talent pisarski bierze się z empatii – umiejętności współodczuwania. Ja raczej widzę bystrego egocentryka, własną tożsamość budującego w opozycji do świata potężnych krzywdzicieli, do których żywi pokrętną miłość-nienawiść. Przygarnąwszy Andersena, jego moi protektorzy wpuścili poniekąd lisa do kurnika. Nikt boleśniej od pisarza-nadwrażliwca nie odczuł różnicy społecznych statusów pomiędzy większym przybłądą a duńską arystokracją, nikt też nie zdołał lepiej zdemaskować wielkopanńskiej obłudy i mieszczańskiego konwenansu. Pod postacią kaczki, piłki, porcelanowego imbryka – Andersen portretuje pychę i hipokryzję burżuazji duńskiej, o względy której skądinąd zabiegał. Pomimo sławy i niezwykłych talentów, nigdy nie osiągnął statusu równego swoim patronom, zawsze zależny, zawsze w roli maskotki i nadwornego błazna. Nie

pierwszy raz w historii literatury poczucie krzywdy wysublimowało się i przybrało postać sztuki.

Lektura trzech „cegieł” Andersenowskich dostarcza nam niespodzianek – fabuła „Latającego kufra” ujawnia, że już 160 lat temu słowo „liberal” miało ciężar epitetu, a słuchanie cudzoziemskiego słowika uchodziło za nie dość patriotyczne w opinii Prawdziwych Duńczyków (nawet jeśli tym Duńczykiem był stary czajnik). W zbiorze znajdujemy teksty szczególne – jak choćby opowieść o kablu telegraficznym, przeciągniętym po dnie morskim pomiędzy Europą a Ameryką, który to kabel ryby biorą za gigantycznego węża morskiego. Z kolei baśń „Szmaty” nie pozostawia suchej nitki na stereotypach narodowych Duńczyków i Norwegów.

Entuzjaści „literatury cacanej” nie znajdują w Andersenie sprzymierzeńca – bez interwencji cenzora pisarz nie spełnia wszechpolskich standardów dydaktycznych. Niektóre bajeczki wręcz podniosły włos na głowie niejednego rodzica. Choć z drugiej strony – Duńczyk zadaje kłam ewolucji i edukacji seksualnej, upoczywie i konsekwentnie lansując model prokreacji z udziałem bociana...

Nowe wydanie „Baśni i opowieści” zilustrowano kapitalnymi wycinankami samego pisarza, którymi przed z górą 150 laty obdarzał przyjaciół. Ta niepoważna zabawa dowodzi kolejnego kunsztu Andersena – niewątpliwego talentu plastycznego. Wycinane naprędce figury mają siłę i wyraz niepospolity, przywodzący na myśl współczesne znaki graficzne. Nie wiem, czy Andersen doceniłby Matisse’a, ale Matisse z pewnością doceniłby Andersena, drapieżny, niepokojący wyraz jego arlekinów i tancerki. Pajace, wisielcy, złodzieje serc – ulubione figury pisarza – stanowią tajemniczy komentarz do jego baśni. Ten duński „wujaszek” był bardzo szczegółny, zaiste.

Kolejna atrakcja tego wydania to obszernie przypisy, które rozsztyfują obco brzmiące sformułowania i terminy w tekście. Dzięki nim poznajemy mnóstwo pasjonujących detali obyczajowych, niezbędnych dla zrozumienia biedermeierowskiej Danii, w której żył Andersen. I zaleta ostatnia: czytelny, przyjazny layout książki. Twarda, płócienna oprawa, efektowne obwoluty i wykłejki, duża czcionka, niebielony, dobry papier. Partie tekstu podzielone reprodukcjami rękopisów pisarza. Wąska kolumna rozkłada się w pełny kwadrat – przy swojej niebagatelnej grubości tym są poręczne, eleganckie. Piękny prezent dla dziecka... i równie atrakcyjny dla jego rodziców. ■■

Hans Christian Andersen, „Baśnie i opowieści”, tom I-III, z duńskiego przeł. Bogusława Sochańska, Poznań 2006, Wydawnictwo Media Rodzina.